

KRZYSZTOF BIELAWSKI

LETNI DZIENNIK (*MIDSUMMER DIARY*) MERTONA I DOŚWIADCZENIE MIŁOŚCI¹

„Nigdy w tym życiu nie pojmem, jak ma się
ta miłość do mojej samotności.

Nic nie poradzę na to, że tkwi ona
w samym sercu mojego odosobnienia,
a nie tylko gdzieś na jego peryferiach”².

(21 czerwiec 1966)

„Muszę się odważyć kochać i z lękiem pytać
samego siebie o to, co pobudza we mnie miłość,
dopóki doskonała miłość nie wypędzi lęku”³.

25 kwiecień 1966)

¹ Najpełniejszą interpretację wydarzeń z życia Mertona z lat 1966–1967, obejmujących spotkanie z M., podał John Howard Griffin w pracy *Follow the Ecstasy: The Hermitage Years of Thomas Merton*, Maryknoll 1993; por. też uwagi M. Motta w oficjalnej biografii Mertona: *The Seven Mountains of Thomas Merton*, London 1986 (pierwsze wydanie amerykańskie Boston 1984), ss. 435–464.

² Th. Merton, *Learning to love. Exploring Solitude and Freedom. Journals*, vol. 6, 1966–1967, red. Ch. M. Bochen, San Francisco 1997, s. 327: „I will never really understand on earth what relation this love has to my solitude. I cannot help placing it at the very heart of my aloneness, and not just on the periphery somewhere”.

³ *Ibidem*, s. 44: „I have got to dare to love and to bear the anxiety of self-questioning that love arouses in me, until perfect love casts out fear”.

Jako jedyny z grona występujących tutaj wykładowców miałem przywilej zapoznania się z wszystkimi odczytami przed samą konferencją. Miałem też szansę i przywilej prowadzenia wielu rozmów na temat Mertona z bardzo różnymi ludźmi, dla których w jakimś momencie i z jakiegoś powodu trapiła ten stał się ważny. Nie brakuje jednak takich, którzy wyraźnie nie potrafili poradzić sobie z niektórymi aspektami Mertonowego żywota i pisarstwa, nie potrafiąc równocześnie odmówić mu racji, wpływu i znaczenia na innym polu. Postępują oni zazwyczaj w myśl zaleceń św. Bazylego, który w IV wieku radził młodzieńcom postępować wzorem pracowitych pszczół – z każdego kwiatu zbierać tylko nektar, tylko to, co najwartościowsze. Dla jednych problemem jest jego dalekie zaangażowanie w dialog międzyreligijny i zbyt wielkie znaczenie, jakie zdawał się przypisywać swej podróży na Wschód – tej dosłownej z roku 1968 i tej duchowej, rozpoczętej wiele lat wcześniej. Innych irytuje jego niesubordynacja, osobliwe pojmowanie zakonnej *conversatio*, lub zbyt śmiało wypowiadanie sądów krytycznych wobec instytucji czy rozporządzeń kościelnych. Jeszcze innych w zakłopotanie wprowadza mętna świadomość miłosnej relacji, w jaką zaangażował się w dojrzałym wieku słynny Merton-teolog-mistrz duchowy. Co do pierwszego, dzięki nieustannemu rozwojowi refleksji ekumenicznej coraz rzadziej można spotkać opinie, według których jego śmierć w Bangkoku była skutkiem interwencji Boskiej Opatrzności, wyraźnie zaniepokojonej jego poczynaniami, zagrażającymi zatarciem katolickiej tożsamości. Co do drugiego – reforma życia zakonnego, której był promotorem, mniej lub bardziej otwarta dyskusja nad wieloma aspektami funkcjonowania instytucji kościelnych oraz coraz większy pluralizm życia Kościoła nowożytnej diaspory stawiają wszystko w nowym świetle. Swoją drogą, każdy z tych tematów stanowi może problem sam w sobie i może stać się przedmiotem refleksji niejednej jeszcze konferencji mertonowskiej, pełnej nowych inspiracji także dla nas. Co do ostatniego – sprawa wygląda najtrudniej i najczęściej pomijana jest kłopotliwym milczeniem.

Cel tego krótkiego odczytu jest prosty: oddać sprawiedliwość ważnemu wydarzeniu z życia Mertona, które poważnie wpłynęło na jego pojmowanie świata, człowieka i Boga, które miało swoją dynamikę, swoje skutki, i które należy poważnie brać pod uwagę przy lekturze i interpretacji jego dzieł. Przypomnieć je, odczytać je zgodnie z intencją Autora. Trzeba brać pod uwagę różne czynniki, które wpłynęły na jego myślenie i jego teologię. Takim samym błędem jest przypisywanie nadmiernego znaczenia jednym

faktom, jak i pomijanie innych. Tak jak przecenienie jednego musi prowadzić do wywoływania błędnego obrazu, tak samo pomijanie innych ten obraz zubaża. Merton był zawodowym diarystą, według wyrażenia Patricka Harta, lub zawodowym archiwistą samego siebie, jak powiada Paul Pearson. Co więcej, zgodnie ze sławnym zapisem z dzienników, Merton miał głębokie, można powiedzieć niemal nieskromne przekonanie, że jego pisarstwo będzie poddawane lekturze i badaniom – „przetrwam, będą mnie czytać i studiować”⁴, zapisał. Przypomina to horacjańskie *non omnis moriar* i słynne *dicar* – „będą o mnie mówić” – z tej samej ody.

Nie zamierzam przeprowadzać tutaj apologii Mertona ani przeciwko jego krytykom, ani, tym bardziej, przeciwko niemu samemu. W jakiejś mierze usiłuje to robić B. Pennington w swojej biografii – moim zdaniem tyleż nieskutecznie, co zupełnie niepotrzebnie. Merton nie spisał *Letniego dziennika*, żeby się tłumaczyć, napisał go, żeby się zrozumieć. Tłumaczyć się lub uspokoić można stosunkowo łatwo, zrozumienie siebie to wyzwanie daleko trudniejsze i jego skutki nigdy nie są tak spektakularne. Przypomina ono rozkładanie rosyjskich „babuszek” – w każdej kolejnej za uśmiechniętą twarzą kryje się następna.

Last but not least można by pokusić się o odczytanie *Letniego dziennika* Mertona w kontekście nam współczesnej i ważnej refleksji nad miejscem i znaczeniem relacji międzyludzkich, nad dojrzewaniem uczuć i osobowości w wychowaniu realizowanym w zamkniętych środowiskach monoseksualnych. Dyskusji często wulgaryzowanej i ośmieszanej. Stawia on nam przed oczy świat przeżyć, uczuć i pragnień bez wątpienia wspólny wielu ludziom, którzy wybrali drogę życia taką, jak Merton. Stawia przed oczy z całą otwartością, na jaką niewielu się zdobywa, wskazuje też na konsekwencje i skutki, na jakieś – mniej lub bardziej niedoskonałe – rozwiązania, których i tak nie można powtórzyć w indywidualnych przeżyciach, ale które mogą być inspirujące w życiowych zmaganiach. Wszystko to nie jest jednak moim zamiarem. Nie dziele tej drogi i nie mam gotowych odpowiedzi, jakich można by udzielić Mertonowi czy komukolwiek innemu miotającemu się w sieci własnych trudnych przeżyć, które nie chcą poddać się ani rozumowi, ani żadnemu ze skrzętnie wystudiowanych działów teologii. Chcę jedynie wyrazić swój szacunek wobec człowieka, który podjął wyzwanie, który nie zrezygnował z otwartości i dążenia do prawdy o sobie i o Bogu; który doświadczenie wewnętrznego rozdarcia przeżył z twarzą niezmiennie zwróconą ku

⁴ Zapis z dnia 14 lipca 1967 roku, *Learning to love*, op. cit., s. 264.

Bogu, w przekonaniu, że największym grzechem grzechu jest właśnie odwrócenie twarzy od Boga.

W kontaktach z przyjaciółmi i wielbicielami Mertona zawsze ujmowała mnie głębsza dyskrekcja okazywana jego doświadczeniu miłości do kobiety, a także do niej samej, ukrytej pod inicjałem M. (w autoryzowanej biografii M. Motta – S.). Było to milczenie pełne autentycznego szacunku. Z drugiej jednak strony niejednokrotnie odniosłem wrażenie, że milczenie to jest dotknięte zawstydzieniem, zażenowaniem, że czytelnicy i znajomi Mertona sta- ją wobec tego doznania jak wobec jakiejś tajemniczej czarnej dziury.

Stoi przede mną zadanie trudne: chciałbym zachować nietkniętą ową ujmującą dyskrekcję i pozostawić to doświadczenie tym, czym jest – własnością samego Thomasa Mertona i częścią jego duchowej drogi, jak i – a może jeszcze bardziej – własnością czarnowłosej, niebieskookiej pielęgniarki ze szpitala w Louisville. Z drugiej strony chciałbym oddać temu doświadczeniu sprawiedliwość, wydobyć ze wstydlivego cienia i wezwać do uznania, że to, co my postrzegamy jako cień na jego życiu, było dlań *de facto* promieniem tego samego światła, które dzień po dniu prowadziło go do pełnej integracji.

Kłopot stanowi też to, że nie dysponujemy żadnymi informacjami ani interpretacjami tego wydarzenia poza zapisami samego Mertona. Nie mamy żadnego dostępu do punktu widzenia „drugiej strony”, która nieodwracalnie jest dla nas jedynie tajemniczą „M” z publikowanych zapisków Mertona (w rękopisach Mertona oczywiście figuruje pełne brzmienie imienia). Dlatego też nikt nie ma prawa aspirować do uzyskania jakiegokolwiek „obiektywnej wizji” zdarzeń. To jest też podstawowy powód troski wydawców i interpretatorów Mertona o zachowanie najwyższej dyskrekcji – nie naruszyć w najmniejszym stopniu dóbr tej osoby.

Problem jednak w tym, że nadinterpretacje są dokonywane, Merton podlega osądom, i trzeba dodać, że zazwyczaj z całkowitym lekceważeniem jego własnego punktu widzenia. Nawet ostatnio, przy przygotowaniach do Kongresu, zdarzyło mi się usłyszeć pogląd, że Merton to oczywiście znakomity pisarz i teolog, „ale niestety zaangażował się w ten nieszczęsny romans”. Tak jakby ten fakt mógł przekreślić wszystko inne, czego dokonał i kim był, jakby nieprawdą było zdanie zapisane przez Jima Foresta w pośmiertnym wspomnieniu: „on zmieniał życie ludzi”. Można dyskutować, czy tego typu moralny fundamentalizm jest w ogóle uzasadniony, tutaj jednak należy przede wszystkim zapytać, jak sam Merton postrzegał to zda-

zenie, a także, jak chciał, by je widziano. Ponieważ brat Ludwik chciał, by świat się dowiedział.

Letni dziennik to historia spotkania, zapisana już z pewnej perspektywy – obejmuje on jedynie czerwiec 1966 roku (pierwszy zapis z datą to 16, a ostatni to 24 czerwca). Chwilami przybiera formę listu adresowanego do M., a czasem dziennika. Swoistym komentarzem do *Dziennika letniego* pozostaje „zwykły dziennik”, prowadzony w osobnym zeszycie.

Zarówno wszystkim uprzedzonym, jak i nieuprzedzonym trzeba przypomnieć najważniejsze fakty. Merton poznał M., leżąc w szpitalu po zabiegu w marcu 1968 roku. Nasilenie kontaktów – do których dochodziło zazwyczaj z pominięciem lub pogwałceniem klasztornych reguł – trwało do końca czerwca. Merton miotał się od decyzji o ślubie (najpierw „czystym”, potem – zwykłym, bez przymiotników), do lapidarnych stwierdzeń, że „musi z tym skończyć”. Zazwyczaj po takim stwierdzeniu, zapisanym w liście do M., biegł do telefonu, by wszystko odwoływać i rozpaczał jednakowo, kiedy się to udawało, jak i kiedy nie udawało. Był to czas „pełen szczęścia i niezwykłej radości, lecz również okres wypełniony strachem, lękiem i depresją”⁵. Nie dziwi fakt, że w tym właśnie okresie powstały interpretacje miłości Lary do Jurija z *Doktora Żiwago*. Nie dziwi, że znajdujemy tam stwierdzenie: „Sensem miłości, i to – jak sądzę – jedynym sensem miłości, jest ten, kogo kochamy”⁶. Język Mertona niejednokrotnie ociera się w tym okresie o paradoksy, przy bliższym rozpoznaniu jednak pozorne: „Jej miłość to nie jest kolejne pytanie czy kolejny problem – jest to sama istota wszystkich moich pytań i problemów i sama istota mojego pustelniczego życia”⁷ (10 czerwca 1966). Stronice z *Letniego dziennika* mogłyby z powodzeniem trafić do klasyki literatury miłosnej, obok wierszy pisanych dla M.⁸ Merton pisał w tych dniach:

⁵ W. Shannon, *Milcząca lampa. Opowieść o Thomasie Mertonie*, przekł. A. Wojtasik, P. Ducher, Bydgoszcz 2002, s. 306.

⁶ Th. Merton, *Learning to love*, op. cit., s. 307: „The sense that love makes, and I think the only sense it makes, is the beloved”.

⁷ *Ibidem*, s. 81: „Her love is not just «another question» and «another problem» – it is right at the center of all my questions and problems and right at the center of my hermit life”.

⁸ Wiersze te zostały wydane – bez zgody Merton Legacy Trust i opata Gethscmani – w roku 1985 jako *Eighteen Poems* przez New Directions, New York.

„(...) Tak dobrze jest być z nią. Nigdy nie uzmysławiałem sobie, jak bardzo, jak natychmiastowo i jak delikatnie odpowiadamy sobie na każdej płaszczyźnie”⁹.

„Uczciwie starałem się widzieć ją prawdziwie taką, jaka jest, i kochać ją dokładnie taką, jaka jest (...). Wiem, że skutkiem tego był głęboki, jasny, silny, niekwestionowany rezonans pomiędzy nami”¹⁰.

Czy wreszcie:

„Trwałem w Prawdzie, nie dzięki jakiejś mojej własnej cności czy też dzięki jakiejś wyższej intuicji, ale dlatego, że pozwoliłem, by ogarnęła mnie miłość, pomimo całego mego lęku, i byłem posłuszny miłości”¹¹.

Te piękne wyznania nieustannie podszyte są dramatycznym napięciem:

„Dzieje się tak dlatego, że M. tak strasznie łatwo się rozpała, jest tak piękna, nie jest mniszka, i jest tak tragicznie pełna pasji i rozległej otwartości. Moja odpowiedź była zbyt totalna i zbyt bezpośrednia”¹².

„Nie jestem ani tak rozgarnięty, ani tak stały, jak sobie to wyobrażałem”¹³.

A nawet:

„Rozumiem, dlaczego ona jest tak przestraszona. Ja też jestem”¹⁴.

Ostatecznie jednak, po długich wahaniach, licznych spotkaniach, interwencjach przełożonych, współbraci i znajomych, dwa miesiące później, 8 sierpnia 1968 roku Merton złożył ślub, w którym zobowiązał się do prowadzenia życia pustelniczego. Merton przeżył kolejny zakręt, a zakręt życiowy to sytuacja, po której nic już nie jest takie jak wcześniej. Za Kazimierzem Dąbrowskim można nazwać takie zdarzenie dezintegracją pozytywną, (dzieśięć lat temu w Bydgoszczy powstała praca magisterska interpretująca życie

Mertona w terminach teorii dezintegracji pozytywnej Kazimierza Dąbrowskiego¹⁵).

Brat Patrick Hart opowiadał mi w Oackham o tym, że wielokrotnie mniej lub bardziej dyskretnie sugerowano Mertonowi zatuszowanie jego „romansu”, potraktowanie zapisów z tego okresu w nieco inny sposób, przeprowadzenie swego rodzaju cenzury – dla dobra jego czytelników, oczywiście. Merton miał odpowiedzieć: „nie zgadzam się na to, bo to też jestem ja”. Taki sam osąd znalazłem nieco później wyrażony przez samego Mertona w *Dziennikach*:

„Nie mam najmniejszego zamiaru utrzymywania sprawy M. w tajemnicy. Zawsze chciałem pozostać całkowicie otwarty, zarówno co do moich błędów, jak i co do wysiłków poszukiwania sensu w moim życiu. Romans z M. stanowi tego ważny element – ukazuje moje ograniczenia, jak i pewną część mnie, która – cóż – także musi być znana, ponieważ jest częścią mojego życia”¹⁶.

I dalej:

„Trzeba, żeby także o tym wiedzano, ponieważ to część mnie. Moja potrzeba miłości, moja samotność, moje wewnętrzne rozdarcie, walka, w której osamotnienie jest zarazem problemem i rozwiązaniem. I do tego najprawdopodobniej rozwiązaniem nie idealnym”¹⁷.

„Otwartość” to jedno ze słów kluczowych w myśli Mertona. Otwartość wobec Boga i wobec ludzi, otwartość rozumiana jako etymologiczny sens greckiej prawdy: *aletheia* – „nie-skrytość”. W definiowaniu kontemplacji

¹⁵ B. Bauman, „Siedmiopiętrowa góra” Thomasa Mertona – studium psychograficzne w świetle teorii dezintegracji pozytywnej Kazimierza Dąbrowskiego, Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Bydgoszczy, praca magisterska napisana w Katedrze Psychologii Wychowawczej pod kierunkiem dra Andrzeja Klimientowskiego, Bydgoszcz 1994 (maszynopis).

¹⁶ *Learning to love...*, op. cit., s. 234: „I have no intention of keeping the M. business entirely out of sight. I have always wanted to be completely open, both about my mistakes and about my effort to make sense out of my life. The affair with M. is an important part of it – and shows my limitations as well as a side of me that is – well, it needs to be known too, for it is a part of me”.

¹⁷ *Ibidem*: „My need for love, my loneliness, my inner division, the struggle in which solitude is at once a problem and a «solution». And perhaps not a perfect solution”.

⁹ Zapis z dnia 27 kwietnia 1966, op. cit., s. 45.

¹⁰ Zapis z dnia 25 kwietnia 1966, op. cit., s. 45.

¹¹ *Ibidem*.

¹² *Ibidem*.

¹³ *Ibidem*, s. 46.

¹⁴ *Ibidem*, s. 45.

prawdziwej przeciwko fałszywej, czy w konstruowaniu wizji „świętego z plastiku” (tytuł rozdziału książki *Życie i świętość*) przeciwko świętości rzeczywistej ta właśnie kategoria odgrywała zasadniczą rolę. Bóg może przemieniać w nas to, co pozostaje przed Nim odkryte, otwarte. Otwartość jest trudna i, co więcej, jest niebezpieczna, ponieważ drzwi do serca są tylko jedne. Można je zamknąć ze strachu przed złem tego świata i jego wpływami, ale wtedy światło też nie przeniknie do wnętrza. Można pozostawić je otwarte na oścież z przekonaniem, że Bóg przemienia wszystko, co pozostaje przed nim odkryte i tak naprawdę niczego nie należy się obawiać. Lęk zamyka. W dzienniku zapisał:

„nie liczy się nic poza miłością, a samotność, która nie jest po prostu pełnym otwarciem się (*wide-openness*) miłości i wolności jest niczym. Prawdziwa samotność ogarnia wszystko, ponieważ jest pełnią miłości, nie odrzuca niczego i nikogo, pozostaje otwarta na Wszystko we Wszystkim” (14 kwietnia 1966 roku).

Różne warianty słowa „otwarty”, „otwartość” są jednymi z najczęściej występujących w *Letnim dzienniku*. W zwykłym dzienniku z tego samego okresu Merton przywoływał słowa z 1 Listu św. Jana: „kto się boi, nie wydoskonalił się jeszcze w miłości” (s. 48).

Trudno pojąć, ale właśnie doświadczenie miłości – sprecyzujmy: miłości do kobiety – pozwoliło Mertonowi pogłębić i oczyścić własne rozumienie samotności, której namiętnie pragnął. Pozwoliło mu realizować własne powołanie w pełni. 18 czerwca zapisał:

„Zasadniczo idea samotności jest następująca: eremita to człowiek, który złośliwie uczynił sam siebie całkowicie nieosiągalnym. Może on tak postąpić z całkowitą pewnością i pełnym samozadowoleniem, ponieważ ma po swej stronie nieosiągalnego Boga, który tak naprawdę w jakiś tajemniczy i magiczny sposób jest osiągalny jedynie dla niego. Samotnik jest zatem w sytuacji duchowego komfortu, nieosiągalnego dla innych. Eremita żyje jedynie dla Boga i z Bogiem. Doznaje on pełnego pocieszenia pociechą, którą sprowadza na siebie jakimś własnym aktem woli, na ślepo podejmując decyzję o tym, że zostanie pocieszony. Zdolność do osiągnięcia tego autystycznego wyczynu jest znakiem powołania pustelniczego. Czy też – mógłbym dodać – znakiem paranoi” (s. 311).

W *Letnim dzienniku* zapisał:

„jestem tutaj z jednego tylko powodu, aby pozostać otwartym” (s. 345).

Doświadczenie miłości z Margie było dla Mertona doświadczeniem wewnętrznym, teologalnym. Wpisało się w długą wewnętrzną podróż, zapoczątkowaną snem o Przysłowie i studiami nad Julianą z Norwich, odkryciem żeńskiej zasady we wszechświecie i żeńskiego aspektu w Bogu. Podróż w widzialny, może nawet spektakularny sposób potwierdzoną podczas słynnego „objawienia” na rogu ulic Fourth i Walnut w Louisville, wielokrotnie podczas tej konferencji przywoływanego, którego istotę stanowiło doznanie głębokiej jedności ze wszystkimi, i miłości – czulej, kobiecej. Trzeba przypomnieć, że objawienie to miało swoją osobową treść: była to „ona”, Przysłowie, do której Merton pisał listy, zachowane w dziennikach: „Nigdy nie zapomnę naszego wczorajszego spotkania. Dotknięcie Twej dłoni sprawia, że staję się innym człowiekiem”. Słowa o takiej samej wymowie i zapisane w tej samej retoryce można znaleźć w *Letnim dzienniku*, z tym że skierowane do Margie. Kolejny etap tej podróży to poemat *Hagia Sophia*; przypomnijmy – spisany w roku 1960, na 6 lat przed spotkaniem M., tekst nie tylko we wzniosłych słowach wysławia łagodność, czułość, Jedność, pełnię i płodność Mądrości, Matki wszystkiego, ale też przywołuje obraz Mertona obudzonego w szpitalu „cichym głosem pielęgniarki”. Trudno uznać, czy Merton rozpoznał w M. Przysłowie ze swych snów, czy jego sny stanowiły prorocze wizje, czy też jedynie projekcję niespełnionych pragnień. Jakkolwiek było, spotkanie z M. stało się dla Mertona punktem zwrotnym na drodze ku poznaniu siebie, ku spełnieniu.

Powierzchniowa, żeby nie powiedzieć złośliwa, interpretacja zawstydzonych umysłów chce koniecznie przekonać nas, że dalsza droga Mertona, dwa lata intensywnej pracy, modlitwy i pisarstwa, były owocem odwrócenia się od grzesznej pokusy. Śmiem twierdzić inaczej. Merton (czy też Merton i Margie wspólnie?) dokonał wyboru rezygnacji ze spełnienia. Doświadczenie to jednak nie osłabiło go, nie można odnieść wrażenia, że Merton po rozstaniu z M. realizuje jedynie swoisty program ekspiacji i zapomniania, że z trudem staje na nogi po bolesnym kryzysie. Jak napisał jego serdeczny przyjaciel Jim Forest „Miłość do Margie nie wygasła”.

Skupienie uwagi na myśli, teologii czy mistyce Mertona z jednej strony akcentuje wagę jego osobistych doświadczeń, jego ascetycznej, wewnętrznej *praxis*, z drugiej zaś zdaje się odwracać uwagę lub wprost zakrywać

doświadczenie, którego znaczenie on sam usiłował zgłębić i któremu nie chciał zaprzeczyć. To właśnie ono uświadomiło mu, jak mówi W. Shannon, że „był kochany jako osoba i mógł odwzajemnić tę miłość”¹⁸. Być może jest to doświadczenie fundamentalne w dojrzewaniu do spotkania z Bogiem i pełnej integracji. Być może sami często uprawiamy nasze wewnętrzne życie z pozycji zranienia i braku doświadczenia miłości, budując iluzję życia duchowego w terminach religijnych. Doświadczenie z M. potwierdziło jego nieustannie podkreślaną intuicję, że trzeba być „coraz bardziej sobą” i że „bycie ludzkim” nie jest drogą zatracenia, ale zadaniem w dążeniu do świętości. Wiele aspektów Mertonowego „bycia sobą” musiało być dla jego towarzyszy życia i przełożonych całkowicie nie do zniesienia – jego gniewliwość (potrafił trzasnąć drzwiami swemu opatowi lub, co więcej, zaprosić go na chrzest własnego hipotetycznego dziecka w charakterze ojca chrzestnego), czasami złośliwość, bezlitosna zwłaszcza wobec pozorów powagi pobożności (por. wyliczanie ilości pranajam wykonanych podczas nudnej konferencji duchowej w klasztorze), rubaszne poczucie humoru (por. opis pierwszego spotkania Mertona z Jimem Forestem: Merton leżący w habicie na ziemi z nogami do góry, pękający ze śmiechu – czy ktoś z tu obecnych wystawiłby dziś na taką próbę własną reputację?), czy wreszcie sama Margie. Jednak to właśnie ów wysiłek ocalania tego, co „swoje”, co ludzkie, pozwalał mu pozostać otwartym na przemieniające światło i, cokolwiek byśmy nie powiedzieli o jego duchowym mistrzostwie, to właśnie jego obnażane słabości sprawiają, że nie boimy się mu zaufać. Odważę się myśleć, że Bóg postrzega to podobnie.

¹⁸ W. Shannon, *op. cit.*